

Następca Luli próbuje dogadać się z banksterami

4 września 2018

Jest już praktycznie przesądzone, że dyspozycyjne wobec brazylijskiej oligarchii sądy uniemożliwią Luli, uwielbianemu przez pracowników byłemu lewicowemu prezydentowi, start w wyborach nowej głowy państwa. Fernando Haddad, który najpewniej wejdzie na jego miejsce w wyścigu wyborczym, na początek postanowił wykonać gest w stronę... wielkich firm.

O serii spotkań, jaką odbył w poprzednim tygodniu, Fernando Haddad sam opowiedział Agencji Reutera. Prawdopodobny kandydat Partii Pracujących (PT) na prezydenta Brazylii (miał być wiceprezydentem przy Luli) siadał do stołu nie ze związkami zawodowymi czy organizacjami rdzennej ludności wypieranej ze swoich tradycyjnych siedzib przez koncerny, ale z przedstawicielami banków i międzynarodowych korporacji. Inni członkowie PT doprecyzowali: były burmistrz Sao Paulo przekonywał do swojej kandydatury ważne postacie z JP Morgan, Morgan Stanley, Itau, UBS, BTG Pactual, XP Investimentos oraz Guide Investimentos. W kalendarzu ma też spotkania z reprezentantami zarządów Credit Suisse i brazylijskiej federacji banków Febraban.

Prawicowi kandydaci na prezydenta Brazylii również pielgrzymowali do bankierów i prezesów – to nic zaskakującego. Lewica natomiast budowała w tej kampanii wiarygodność na jasnym wskazywaniu patologii oligarchicznego systemu, jaki panuje w kraju i krytyce antyspołecznych posunięć prezydenta Michela Temera. Zarówno Lula, jak i Haddad potępiali wprowadzone przez niego reformy prawa pracy i cięcia wydatków publicznych. Wyniki byłego prezydenta w sondażach pokazywały, że antyoligarchiczny program podoba się Brazylijkom i Brazylijczykom, którzy już zdążyli się przekonać, kto korzysta na rządach neoliberalnej prawicy. Tyle, że ich nadzieją był

personalnie Lula – gdy pytano o samego Haddada, w razie wykreślenia głównego kandydata PT z wyborów, uzyskiwał on wynik w granicach 7-15 proc. głosów, wyraźnie przegrywając z prawicowym Javierem Bolsonaro (ok. 20-25 proc. poparcia), człowiekiem, który słusznie zapracował na przydomek „brazylijskiego Trumpa”. Przegrywał także dlatego, że jest daleko mniej w swoich postulatach stanowczy – sugerował m.in., że w gruncie rzeczy nie ma nic przeciwko pewnym cięciom budżetowym. Wśród elektoratu PT Haddad może na wdzięczeniu się do biznesu tylko stracić.

Bo nie ulega wątpliwości, że podczas spotkań z dyrektorami i menedżerami korporacji Haddad nie mówił o walce z wyzyskiem: komentujący jego postawę w kampanii przedstawiciele oligarchii wyrażają ostrożne zadowolenie. „Pokazał, że jest o wiele bardziej otwarty na dialog, niż się spodziewaliśmy” – mówi jeden z ekonomistów z wielkich firm, anonimowo komentujący sytuację dla Agencji Reutera. „Zaprezentował umiarkowany wizerunek, który uspokoiłby rynki. Stare obawy przed Partią Pracujących jednak pozostają.”

Wypowiedź ta w zasadzie mówi wszystko. Jeśli gest Haddada ma zapewnić mu choćby ochronę przed atakami sprzyjających oligarchii brazylijskich mediów (czytaj: większości brazylijskich mediów), to były burmistrz Sao Paulo srodze się rozczaruje. Będą one zawsze po stronie prawicy, niezależnie od tego, jak bardzo „racjonalna” i „umiarkowana” będzie starała się być lewica. A oligarchia ma już swoich kandydatów – choćby farbowanego antysystemowca Bolsonaro, który mówi w kampanii o masowym prywatyzowaniu państwowego majątku, który nie został dotąd wyprzedany, a jednym z głównych sztabowców uczynił bankiera.

Pierwsza tura wyborów w Brazylii odbędą się 7 października.

Autorstwo: MKF

Źródło: Strajk.eu